

TEMATY
TYGODNIA

- 10** Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
**O co się będziemy bić
11 listopada**
- 12** Prof. Paul Lendvai
o Węgrzech, Węgrach
i fenomenie Orbána
- 16** Marcin Kołodziejczyk
**Wybory samorządowe:
studium przypadku**

ROZMOWA
ŻAKOWSKIEGO

- 18** Prof. Zbigniew Izdebski
o seksie prawicy, lewicy
i centrum

SPOŁECZEŃSTWO

- 22** Ewa Wilk **Samobójcy
są wśród nas**
- 26** Eugeniusz Pudlis
**Ulżyć zwierzętom
doświadczalnym**
- 30** Elżbieta Turlej **Ciąże 50+**
- 34** Piotr Pytlakowski
Śmierć w głębinach

RYNEK

- 40** Joanna Solska **Kto zarobi
na mobilnym internecie**
- 43** Adam Grzeszak
Samojezdne samochody

ŚWIAT

- 48** Katarzyna Kwiatkowska-
Moskalewicz **UKRAINA
Mer Lwowa
wchodzi do gry**
- 51** Ksawery Burski **CHINY
Chłopi mogą więcej**
- 54** Artur Domosławski
**AMERYKA ŁACIŃSKA
Tylko lewica wygrywa**

HISTORIA

- 56** Adam Krzemiński **ESEJ
Jak runęły mury
w głowach**
- 71** Andrzej Krajewski
**Wymuszony pokój
między II RP a Litwą**

**10 Do czego służy niepodległość****30 Bardzo późne ciążę****43 Auta, które jeżdżą same**PORTRETY
MIAST POLSKICH**59 Olsztyn: samotni
wśród jezior**

NAUKA

- 74** Rozmowa z dr. n. med.
Michałem F. Kamińskim,
laureatem Nagrody
Naukowej POLITYKI, o tym,
jak przeciwdziałać rakowi
jelita grubego
- 78** Bartosz Nowacki
**Egipska klątwa
gigantomanii**
- 82** Jacek Schindler
Zalani plastikiem

KULTURA

- 88** Marcin Zwierzchowski
**Fiction coraz
bardziej science**
- 92** Zdzisław Pietrasik
**„Obywatel”: heroizm
czy kabotynizm?**
- 96** KAWIARNIA LITERACKA
Grażyna Plebanek
- 98** Justyna Sobolewska
Grosman niespokojny
- 100** Rozmowa z **Janem Kłatą**
o zmaganiu się Polaków
z własną tożsamością
- 103** MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 104** Mariusz Herma
Papier jak winyl
- 108** Jarek Szubrycht
**Wielka kariera
małej gumki**

NA WŁASNE
OCZY

- 116** Dariusz Koźlenko,
fotografie Piotr Sadurski
Moda na pychówki

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski • **6** Ludzie
i wydarzenia • **84** Afisz • **110** Passent
• **112** Stomma • **114** Fusy • **115** Do
i od redakcji • **122** Polityka i obyczaje



portrety
miast
polskich

Dzisiaj: Olsztyn

Olsztyn jest miastem skrojonym na ludzką miarę. Pod względem jakości życia wysoko (na 11 miejscu) plasuje się w naszym rankingu porównującym 66 polskich miast o statusie powiatu (patrz www.polityka.pl/niezbednikinteligenta). Ta pozycja może zaskakiwać – wszak Olsztyn to stolica jednego z najbiedniejszych regionów Polski. Nie tylko jednak problemy gospodarcze decydują o trudnej specyfice Warmii i Mazur. W nie mniejszym stopniu ich przyczyną są kłopoty ze złożoną tożsamością mieszkańców Olsztyna i regionu. To ziemia, nad którą ciąży „klątwa wiecznego początku”. Zapraszamy do lektury ostatniego już raportu z cyklu „Portrety Miast Polskich” – s. 59–70.



www.mleczeko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer

Walka o postęp i ustęp

felieton



Poseł Niesiołowski znowu straszy, wypowiadając się w radiach i telewizjach głównego nurtu, które nawiedza. Niedawno niepokornych dziennikarzy nazwał „PiS-owskimi śmieciami”, wzbudzając grozę w środowiskach prawicowych. Działacze PO zapewniają, że cały czas pracują nad tym, żeby poseł Niesiołowski wypowiadał się spokojniej i nikogo nie obrażał. „Wydaje mi się, że zrobiliśmy w ostatnich latach bardzo duży postęp” – ocenia posłanka Kidawa-Błońska. Niestety, jego wypowiedzi na temat PiS i Jarosława Kaczyńskiego nadal wymagają cierpliwej pracy, która – jak zapewnia posłanka Kidawa-Błońska – będzie kontynuowana aż do skutku.

Polityków lewicy przypadek posła Niesiołowskiego nie zaimponuje, gdyż ich zdaniem w kraju są tematy ważniejsze. Chociażby sprawa mającej 2 m kw. ubikacji

i połączonego z nią sejmowego gabinetu, który zajmuje dyrektor klubu Twojego Ruchu i nie zamierza go opuścić. A zdaniem SLD powinien, gdyż po tym, jak z TR odeszła większość posłów, to prestiżowe pomieszczenie mu się nie należy. Dlatego TR powinien ubikację z gabinetem (oraz kilka innych pomieszczeń) przekazać SLD, który jako największe lewicowe ugrupowanie w Sejmie (31 posłów) nie może pozostawać bez toalety.

Ubiakacja byłaby dla SLD ważną zdobyczą socjalną, wzmacniającą jego pozycję przed wyborcami. Problem w tym, że dla TR brak ustępu byłby bolesną porażką, godzącą w wizerunek TR jako ugrupowania szalenie nowoczesnego. Wydaje się, że utrata ubikacji stanowiłaby dla tej partii cios znacznie cięższy niż niedawna utrata 12 posłów. O tym, komu ostatecznie przypadnie WC, ma zdecydować

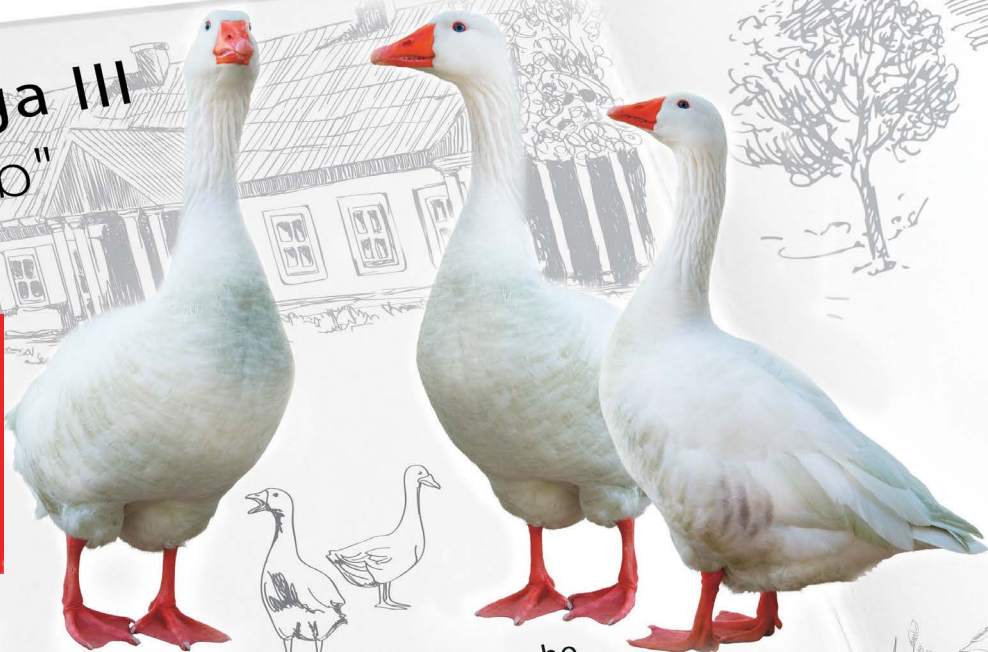
poseł Grzeszczak z PSL, którego Prezydium Sejmu wyznaczyło na mediatora w sporze. Wydaje się jednak, że burza wokół toalety prędko nie uciśnie, gdyż pretensje do pomieszczeń po TR (w tym również ubikacji) zgłosiło 11-osobowe Koło Bezpieczeństwo i Gospodarka utworzone przez uciekinierów z TR. Sejmowi urzędnicy zaproponowali Koło pokoje w hotelu sejmowym, ale Koła one nie urządzają ze względu na dużą odległość od sali plenarnej.

Koło Bezpieczeństwo i Gospodarka grozi, że jeśli jego potrzeby nie zostaną zaspokojone, w ramach protestu rozbije w Sejmie namiot, co stworzyłoby tam zupełnie nową sytuację polityczną. Obawiam się, że nie podola jej żaden mediator i do ostatecznego rozwiązania tego konfliktu (a przy okazji także Koła Bezpieczeństwo i Gospodarka) konieczna będzie brutalna interwencja wyborców.

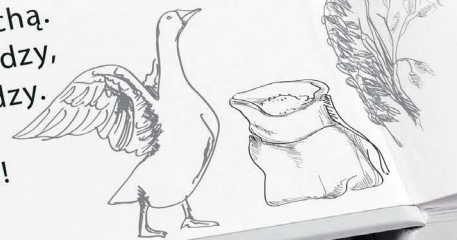
Księga III "Drób"

Gęś owsiana kg

9,99
~~12,99~~



Już trzykroć gęgnął gęsiar, a za nim jak echo
odezwały się chórem gąseczki pod strzechą.
Owsem wykarmione, według dobrej wiedzy,
gęgały, że są zdrowsze niż gęsi zza miedzy.
Tak, tak. Jedzenie jedzeniu nierówne.
Jak ta gęś owsiana po 9,99 za kilogram!
A kurczaki?! A kaczki?! A indy?! A indy?!



1,99
~~3,99~~

Gruszka kg

JEST JEDZENIE
I JEDZENIE.
Są markety
i jest Alma.



A gruszki tylko 1,99 za kilogram!
Od środy do poniedziałku.
W Almie, oczywiście.

[Kup książkę](#)



© BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Black Hawk nie doleci?

Przy dużych pieniądzech nie może zabraknąć dużych emocji. Tym razem dostarczyły ich Amerykanie ubiegający się o wart ok. 10 mld zł kontrakt na 70 śmigłowców dla polskiej armii. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście się ubiegają, bo od kilkunastu dni amerykański właściciel zakładów w Mielcu, firma Sikorsky, podgrzewa opinię publiczną informacjami, że oferty jednak nie złoży. I pewnie nie wywołałoby to aż takiego zamieszania, gdyby nie dodawał, że ewentualnie zmieni zdanie, jeśli Ministerstwo Obrony Narodowej skoryguje wymagania przetargowe i zapisy kontraktu. Czy mieści się to jeszcze w kategoriach dialogu producenta z zamawiającym, czy już zakrawa na bezczelność? Sądząc po odpowiedzi MON, raczej to drugie: „Pragniemy zauważyć, że to zamawiający, czyli Ministerstwo Obrony Narodowej, określa to, czego potrzebują Siły Zbrojne, a nie oferty wskazują, co mają do sprzedania”.

Mielecki zakład to jeden z największych eksporterów sprzętu wojskowego w Polsce. Siedem lat temu Amerykanie kupili zakład, który był w fatalnej kondycji, i przez ten czas mozolnie stawiali go na nogi: według danych z Mielca wpompowali w fabrykę 150 mln dol. i zatrudnili dodatkowych 800 pracowników. Od podstaw stworzyli linię produkcyjną śmigłowca S70i Black Hawk, przyrodniego brata słynnego Black Hawka. I bardzo aktywnie promowali tę maszynę w przetargu na helikopter wielozadaniowy dla polskiej armii. Promowali skutecznie, bo w branży mówiono, że polska armia przygotowuje się do ogłoszenia przetargu na Black Hawka.

Sytuacja diametralnie zmieniła się w maju tego roku, kiedy MON przekazał trzem oferentom szczegóły swoich wymagań. Okazało się, że S70i nie tylko nie jest już liderem, ale wręcz nie spełnia kryteriów. Jakich, to tajemnica, bo ktoś w MON nauczony poprzednimi doświadczeniami zdecydował o utajnieniu wymagań. W efekcie Sikorsky nie może nawet napisać, co konkretnie mu się nie podoba, bo zostałby wykluczony z postępowania. Prawdopodobnie problemem mieleckiego śmigłowca jest m.in. rozmiar jego kabiny. Jeśli S70i nie wystartuje w przetargu, to murowanym zwycięzcą będzie Airbus Helicopters i śmigłowiec EC 725 Caracal. Trzecia oferowana w przetargu maszyna – AW 149 – to najnowocześniejszy, ale też najmniej sprawdzony sprzęt.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Diety wyborcze

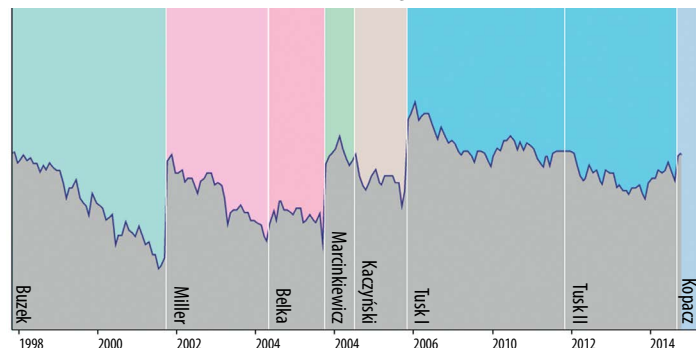
Ponad ćwierć miliona ludzi będzie pracować w ponad 27 tys. komisji obwodowych, w których będziemy wybierać władze samorządowe 16 listopada. Komisje (7–9 członków) już zostały wybrane. W wielu miejscach zgłosiło się tylu chętnych, że o składzie przesądzały losowania. Wszystkim przysługuje do pięciu dni urlopu, z zachowaniem świadczeń z wyjątkiem wynagrodzenia. Rekompensatą za to ma być dieta. PKW zdecydowała podnieść diety o ponad 100 proc., bo brakowało chętnych do komisji przy majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego. Teraz każdy dostanie 300 zł (wcześniej 135 zł), przewodniczący 380 zł (165 zł), a jego zastępca 330 zł (150 zł). Dyrektor Krzysztof Lorenc z Krajowego Biura Wyborczego zwraca uwagę, że członkowie komisji to najważniejszy organ wyborczy, bo to on ustala wyniki: – *Ci ludzie są funkcjonariuszami publicznymi, z pełnymi prawami i odpowiedzialnością funkcjonariuszy publicznych.*

Od kilku lat, szczególnie z prawej strony sceny politycznej, padają zarzuty o fałszowanie wyników. Dyr. Lorenc mówi, że uczciwość wyborów w największej mierze zależy od komitetów wyborczych w tym właśnie partii, bo to one zgłaszają osoby do pracy w komisjach. W zeszłym tygodniu PKW zdecydowała, że każdy z członków komisji i wszyscy mężowie zaufania będą mogli otrzymać kopię podpisanego protokołu z głosowania w lokalu wyborczym.

Członek komisji musi mieć ukończone 18 lat najpóźniej w dniu wyborów, nie może być pozbawiony praw publicznych i wyborczych ani być ubezwłasnowolniony. Nie ma górnego limitu wieku (w majowych eurowyborach w jednej z komisji zasiadł 94-latek). Nie ma też wymogów dotyczących wykształcenia (we Włoszech komisjom wyborczym przewodniczą prawnicy, którzy dobierają sobie współpracowników). Członkowie komisji nie muszą również składać żadnego ślubowania, co jest praktykowane w innych krajach europejskich. Pojawiały się pomysły, by sprofesjonalizować prace komisji: chętni przeszliby szkolenia, zdali egzamin i uzyskali certyfikat. Jednak posłowie, którzy pracowali cztery lata temu nad kodeksem wyborczym, nie zainteresowali się tą propozycją. (Dąb.)

Premier Kopacz umacnia

Indeks Stabilności Rządu



Odczyt ISR w październiku 2014 r.

71 pkt

Zmiana od września 2014 r.

▲ 1 pkt

Granica stabilności rządu

44,0 pkt

Przedziały ISR dla innych rządów

	MIN	MAX
Tusk II	52	72
Tusk I	65	91
Kaczyński	48	70
Miller	35	70
Buzek	24	72

012 punktów wzrósł Indeks Stabilności Rządu (ISR) po tym, jak Ewa Kopacz przejęła stanowisko premiera. ISR to nowy wskaźnik stworzony przez centrum analityczne POLITYKA INSIGHT – pozwala inwestorom szacować ryzyko upadku rządu. Składa się on z czterech wymiarów: poparcia dla rządu i premiera, spójności koalicji i zmienności składu rządu, nastrojów społecznych oraz koniunktury. PI bada stabilność polityczną na bieżąco, ale wyliczyła ją także wstecz do 1997 r. Indeks wskazuje, że okresem największej destabilizacji były rządy AWS-UW, z kolei najgłębsze załamanie nastąpiło po aferze Rywina za rządów SLD-UP. Względnie duża stabilność panowała za rządów PiS, a najwyższy ISR miał pierwszy gabinet Donalda Tuska. (P)

Partyjne rakiety zmieniają kurs

Kaczyński uznaje Kopacz, Miller nie uznaje Sawickiego, a Macierewicz nadal błąka się po naszej polityce jako osoba o nieustalonym statusie publicznym. Sąd Najwyższy nie zechciał się nawet pochylić nad nim jako likwidatorem WSI i zepchnął problem niżej. To bodaj najważniejsze wydarzenia minionego politycznego tygodnia.

Prezes Jarosław Kaczyński uznał publicznie, że premier Ewa Kopacz jest jednak politykiem. Nie oznacza to jeszcze, że „lekarka z Szydłowca” awansowała do pierwszej ligi, ale wyraźnie się do niej zbliżyła. Na tyle, że prezes gotów jest z nią współpracować w sprawach dla partii najważniejszych i nie ma do niej nic „osobistego”, choć przecież jeszcze kilkanaście dni temu była tą, która kłamała w tak ważnej dla PiS sprawie jak katastrofa smoleńska. Zostało jej wybaczone? Czy też smoleńska katastrofa przestaje być chwilowo ważna? Przecież nawet próby ożywienia dyskusji o budowie pomnika nie wywołały większych emocji mimo starań prezydenta Bronisława Komorowskiego. Poczekamy do kwietnia przyszłego roku?

Dwie najważniejsze dziś dla prezesa sprawy to problemy tych, którzy mają kredyty we frankach szwajcarskich, oraz sytuacja ZUS. „Szwajcarskie” kredyty Polaków stały się ostatnio bardzo politycznie modne. Wprawdzie rzecz dotyczy dość ograniczonego grona obywateli, a potencjalna zmiana kursu na zdecydowanie wyższy jest mało prawdopodobna, ale rzuciły się na ten temat (wyjątkowo ważny akurat w wyborach samorządowych) także inne partie, choćby SLD. Można odnieść wrażenie, że przyszły kurs franka szwajcarskiego stał się centralnym punktem polskiej polityki (choć zdolność spłacania przez obywateli kredytów złotówkowych może stać się w przyszłości problemem poważniejszym). Przed wyborami jednak warto pochylić się nad każdą, nawet mało liczną grupą, zwłaszcza zaś warto docisnąć rząd, bo samo zwrócenie się przez premier Kopacz do KNF, aby przyjrzała się sprawie (co też miało, nie ukrywamy, aspekt przedwyborczy), to przecież mało. Nie bardzo też wiadomo, co chciałby prezes Kaczyński w sprawie ZUS oprócz oddajnienia raportu NIK. Przecież PiS chce zlikwidować OFE i całość emerytur przerzucić na ZUS. Nic też nie słycać, żeby chciał reformować np. specjalne emerytury górnicze albo inne przywileje, co znacznie odciążałoby budżet i ZUS. Ale sama deklaracja współpracy warta jest odnotowania.

Najwyraźniej w PiS uznano, że jednak koncepcja „państwa osobnego”, tej własnej IV RP i totalnej opozycyjności, przy premier Kopacz słabo się sprawdza. Państwo Tuska i Kopacz, ustawionych na jednym poziomie – jako źródło wszelkiego zła – do wyobraźni społecznej niezbyt trafia. Notowania PO nie spadają, zaufanie do pani premier rośnie,

rząd jest oceniany nieźle, a przecież te kolejne wybory należałoby jednak wygrać, by przerwać pasmo klęsk. Melodia, że PiS przegrywa, bo wybory są fałszowane, a serwery PKW są w Moskwie, też słabo się sprzedaje, a choćby jeden mandat w sejmikach więcej od Platformy, by pokazać, że jednak PiS wygrywa, jest tyle wart, że można nie mieć nic „osobistego” do pani premier. Zmiana partyjnego kursu, nawet tylko taktyczna, jest jednak trudna. To tak, jakby chcieć w jednej chwili zmienić kurs rakiety wystrzelonej na Księżyc i sprawić, by wylądowała na Marsie. Partia od lat swoje przecież wie.

Pokazała to w ubiegłym tygodniu sprawa potencjalnej ekstradycji Romana Polańskiego, wyjątkowo dobrze i wszechstronnie obsłużona przez media (choć wniosku o ekstradycję jeszcze nie było). Kolejni ważni politycy PiS stawali przed kamerami i zgodnym chórem deklarowali, że Polańskiego trzeba absolutnie Amerykanom wydać, bo popełnił straszną zbrodnię. Określeniem „zbrodnia” bardzo się zresztą dealektowali, a Amerykanów chwalili, że tacy są w ściganiu zbrodni zdecydowani i że u nich to prawdziwe państwo prawa. Tymczasem prezes na koniec zaskoczył: uznał, że to sprawa wymiaru sprawiedliwości i on w kwestii ekstradycji wypowiadać się nie będzie. Pełna konfuzja. Najwyraźniej trzeba szybko zmieniać „przekazy dnia” i już nie bardzo wiadomo, jakie opinie są obowiązujące, a jakie chwilowo zawieszone.

Marzeniem PiS jest choćby ten jeden sejmikowy mandat więcej, marzeniem Leszka Millera wydaje się przekroczenie w tych wyborach poziomu 10 proc. Na razie sytuacja wygląda marnie. W Warszawie nie zarejestrowano nawet list w ważnych okręgach, podobnie na Opolszczyźnie. Kandydat na prezydenta stolicy praktycznie nie istnieje.

Jan Koza.....



© JAN KOZA



Na Mazowszu, gdzie Włodzisław Czarzasty – jako zdolny, pełen energii odnowiciel – miał zapewnić sukces w sejmiku, może nie być mandatu dla SLD.

Dla Millera nie ma dobrych wiadomości z miast, sięga więc rozpaczliwie po wieś, próbując odbić coś ludowcom, którzy

w tych wyborach zostali dosłownie wzięci w dwa ognie. Z jednej strony, od dawna i nie bez sukcesów, naciera PiS, z drugiej zaczął się dobierać Sojusz, dotychczas, a przynajmniej od czasu, kiedy Wojciech Olejniczak przestał być ministrem rolnictwa, jakoś mało polityką wiejską zainteresowany. Po druku tysięcy ulotek ze słynnymi „frajerami” obecnego ministra przyszedł czas na wniosek o wotum nieufności dla Marka Sawickiego.

SLD sprawia wrażenie partii, która miota się od pomysłu do pomysłu, a co jeden, to gorszy. Już zapowiedziano zbieranie podpisów pod wnioskiem o odwołanie marszałka Sikorskiego, by za chwilę uznać, że jednak lepiej na Sawickiego, choć klub sejmowy Sojuszu nawet po aneksjach dokonanych kosztem partii Palikota nie ma dość posłów, by samodzielnie kogokolwiek odwołać. Sawicki ma być odwoływany nie tylko za „frajerów”, ale za całokształt. Dla SLD rzecz o tyle ryzykowna, że na takiej debacie, która i tak rozegra się po wyborach, więcej zarobi PiS, bo ma lepszych, bardziej demagogicznych specjalistów od rolnictwa. Nie na darmo wszak PiS przejął kiedyś całe kierownictwo ludowców z obecnym eurodeputowanym Januszem Wojciechowskim na czele czy popularnym posłem Zbigniewem Kuźmiukiem. Tak więc chodzi nawet nie o debatę, ale o jakikolwiek przedwyborczy gest.

Wybory samorządowe mają inny charakter niż parlamentarne – to często powtarzane zdanie. Tu każdy może ogłosić jakieś zwycięstwo. Otóż jednak nie każdy. W dodatku tym razem liczone będą nie tylko zwycięstwa, ale przede wszystkim porażki.



Okna Donbasu

niąją gradę od artylerii. Czego chcą? Żyć jak dawniej. Komu to przeszkadzało? – pytają. Żyli biednie, ale w spokoju.

W Słowińsku, gdzie do niedawna rządzili separatyści, z jednej tylko licealnej klasy wyjechało 15 dzieci. Nie wiadomo, ile osób uciekło z miasta, połowa, może więcej. Zostają ci, którzy czekają, że Rosja do nich przyjdzie. Albo nie mają dokąd jechać, boją się zostawić domy, dorobek życia.

Wracający teraz uciekinierzy z Donbasu zwykle zastają gołe ściany, zniknęły telewizor, pralka, całe wyposażenie, meble, nawet pościel. Jest gorzej niż po drugiej wojnie – mówią ludzie. Tam gdzie toczyły się walki, domy są zniszczone, całe rodziny nadal żyją w piwnicach, grozi im katastrofa, głód, nawet zamarnięcie. Brakuje wszystkiego: pieniędzy, lekarstw, żywności, ciepłej odzieży, pampersów, insuliny dla diabetyków. W szpitalach nie wykonuje się dializ, pacjenci, jeśli nie wyjadą z Donbasu, są skazani na śmierć. Nie ma pracy, od dawna było jej zresztą coraz mniej. Ludzie żyli z handlu przydrożnego, handlowali miodem, grzybami, rybami.

Wracają z Rosji, bo nie da się żyć, drożyzna. Można jechać na Kamchatkę, na Syberię, Moskwa wysyła tam, gdzie brakuje rąk do pracy. Lider DRL Aleksander Zacharczenko obiecał, że po wyborach będzie lepiej. A oni mu wierzą.

Ci, którzy uciekli do Słowińska czy Światogorska, wracają, bo nie uznają przywróconej ukraińskiej władzy. Nawet teraz, po wyborach, są przeciwi „huncie”, tak piszą na murach: hunta. Boją się żyć na Ukrainie, bo to tam się zaczęła wojna, na Majdanie, i przyszła na wschód. Kijów jest wrogiem, rząd nie pomaga, nie odnosi się po ludzku. Kto zniszczył ich domy? Nie wiedzą albo nie chcą wiedzieć. Jedni i drudzy strzelali, jedni kazali wystawiać rosyjskie flagi, a drudzy je zdejmowali.

Ci, którzy nie chcą władzy separatystów, mówią, że to bandyci, złodzieje, alkoholicy i narkomani. Patologiczni budżetnicy, czyli żyjący wiecznie z zasiłków, którym dano do ręki karabiny. Że wszystko przez Putina, który chce zniszczyć Ukrainę. Ale lepiej takich sądów na głos nie wypowiadać. Jurij uciekał do Charkowa. Ma dyplom ASP. Złapał go w Ługańsku, bo nie chciał walczyć po stronie separatystów. Bili, trzymali w piwnicy bez jedzenia. Takich jak on widział wielu, pobitych, uwięzionych. Po tym, co przeżył, nie chce zostać na Ukrainie, marzy o wizie na Zachód. Kto mu zagwarantuje, że separatyści nie zajmą całego wschodu, jak obiecali przed wyborami? A cała separatystyczna „Ługanda” (jak ją nazywają w Moskwie przeciwnicy Putina) nazajutrz po wyborach żyje jednym: czy Rosja weźmie Donbas na garnuszek, przyłącząc jak Krym? Jedno jest pewne: ci, którzy poszli na wybory, nie chcą już władzy z Kijowa.

Życie codzienne w Ługandzie

JAGIENKA WILCZAK Z DONBASU

Wyborami do władz zbuntowanych republik, Donieckiej i Ługańskiej, żył cały Donbas, i ten jeszcze ukraiński, i ten trzymany przez separatystów. Tyle że każdy po swojemu: Kijów powtarzał, że wybory są nielegalne, pod lufami karabinów, i że nie uzna farsy. Donieck i Ługańsk obiecywały stabilizację, zbliżenie z Rosją i powstanie Noworosji.

Granica między Ukrainą i Doniecką Republiką Ludową (DRL) formalnie nie istnieje. Wyznacza ją linia, gdzie zatrzymała się wojna. Są blokposty, czyli punkty kontrolne na drogach. Betonowe zapory zatrzymują samochody, a ludzie w mundurach sprawdzają paszporty. Tam gdzie powiewa ukraińska flaga, terytorium kontroluje Kijów i żołnierze Gwardii Narodowej, ochotnicy z kałaszami. Posterunki przypominają powstańczą barykadę, pełno tu złomu, stoją ciężarówki rozszarpane przez pociski, a skrzynki po amunicji służą za ochronę przed ostrzałem. Żołnierze rąbią drewno, grzeją się przy ogniskach. Na blokpostach pod władzą separatystów też są flagi, tyle że Noworosji albo po prostu rosyjskie, ale sceneria ta sama.

Mieszkańcy stref kontrolowanych przez separatystów muszą wyjeżdżać po pieniądze: u nich nawet w Gosbanku brakuje hrywien, bankomaty nie działają, cały system bankowy jest wypatroszony. Urzędnicy uciekli, zasoby rozkradziono, teraz separatyści dobrali się także do ocalałych sejfów bankowych. Z kartami po gotówkę trzeba

jeździć do strefy odbitej przez ukraińską armię. Tam pieniądze są, ale każdego dnia może zabraknąć.

– *My tu zdychamy, od czterech miesięcy nie dostajemy emerytur ani wypłaty* – mówi Jelena. Separatyści tłumaczą, że emerytury to nie ich sprawa, lecz rządu w Kijowie. Wyjazd po pieniądze kosztuje, prywatni liczą sobie 10 hrywien (3 zł) za kilometr. Strażnicy na blokpostach często żądają okupu. Do autobusu trudno się dostać, bo jeżdżą tylko przed południem. Ługańsk ma nadal połączenie kolejowe z Kijowem, ale jest niebezpiecznie, bo po drodze kradną i napadają. Do Doniecka pociągi już nie dojeżdżają. Komunikacja miejska działa, ale głównie w centrum miasta. Granica jest otwarta, z obu republik można wyjechać i wrócić, ale tylko lokalnym transportem. Do Siewierdoniecka w obwodzie ługańskim, gdzie teraz przeniosła się ukraińska administracja obwodowa, każdego dnia przyjeżdża nawet 2 tys. osób. Ustawiają się w kolejce do bankomatów, robią zakupy i wracają. W sklepach jest żywność, chociaż droższa niż przed wojną. Bardzo podrożała też benzyna.

Ludzie boją się, że wojna wróci. Sądzi, że będzie raz-dwa, przyłączą się do Rosji i problemy znikną. Trochę tak jak na Krymie. Ogrzewanie w mieszkaniach włączono kilka dni temu, jest woda, gaz i elektryczność. Ukraińska władza nie zakreśliła kurków. Wyłączenia prądu są tam, gdzie toczą się walki. Gdy strzelanina ustaje, światło i gaz powracają. Chyba że spłonął transformator albo została przerwana linia wysokiego napięcia. Ludzie przywykli, już wiedzą, gdzie i z czego strzelają, choć niby jest rozejm, odróż-



Pomorze
Zachodnie

dobre miejsce na przyszłość

Każdy z nas poszukuje swojego miejsca na ziemi. Chcemy znaleźć harmonię pomiędzy pracą a wypoczynkiem, pomiędzy życiem rodzinnym a zawodowym. Chcemy budować nasz biznes w pięknym otoczeniu, w miejscu w którym jakość życia sprawia, że każdy dzień będzie się rozpoczynał i kończył z uśmiechem.

Pomorze Zachodnie to dobre miejsce na przyszłość dla Twojej firmy. Rozwijaj swoje pomysły w unikatowej przestrzeni: tam gdzie błękit nieba łączy się z błękitem Morza Bałtyckiego, a wiatr daje energię ludziom i wiatrakom. **Firmy z całego świata doceniają doskonale warunki naturalne naszego Regionu oraz sprzyjający klimat inwestycyjny.** Na Pomorzu Zachodnim produkujemy nie tylko energię odnawialną, ale również prawie wszystkie elementy do farm wiatrowych. Tutaj spotykają się przedsiębiorcy z całego świata aby tworzyć produkty najwyższej jakości.

Oprócz tradycyjnych specjalizacji takich jak turystyka, logistyka, rolnictwo, przemysł maszynowy, metalowy czy gospodarka morską rozwijamy usługi przyszłości, usługi oparte na wiedzy. Stajemy się między innymi silnym ośrodkiem IT: tutaj powstaje mobilne oprogramowanie oraz gry wideo. Żartujemy czasem, że chmury nie tylko dają nam chwilowy odpoczynek od słońca, ale również służą nam do przetwarzania danych.

Pomorze Zachodnie to być może coś więcej niż morze i lokalizacja w najbliższym sąsiedztwie Niemiec oraz Skandynawii. To również dobry klimat, kreatywność, pracowitość i energia ludzi.

**Pomorze Zachodnie to dobre miejsce na przyszłość.
Dla Ciebie, dla Twojej Firmy i Rodziny. Przyjedź. Sprawdź.**

www.dobrenaprzyszlosc.pl



Projekt współfinansowany przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Zachodniopomorskiego na lata 2007-2013



Kup książkę



Odtworzenie bitwy pod Olszynką Grochowską w 1831 r. z udziałem grup rekonstrukcji historycznych m.in. z Polski, Białorusi, Litwy i Rosji

Do czego służy niepodległość

Każde Święto Niepodległości jest trochę inne, ale tegoroczne jest wyraźnie inne. Po raz pierwszy od wielu lat zaczęliśmy liczyć własne – i cudze – dywizje, czołgi i samoloty.

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

Wojna rosyjsko-ukraińska zmusiła Polaków – polityków, ale także zwykłych obywateli – do stawiania zasadniczych pytań o bezpieczeństwo państwa, o zagrożenia, o moc zawartych sojuszy czy w ogóle o trafność polskiej polityki zagranicznej w ostatnim 25-leciu. I rozważań, ile czasu jesteśmy w stanie bronić się przed wschodnią ofensywą oraz ile pieniędzy musimy wydać, by polska armia była w przyszłości bardziej sprawna. Rząd zaś właśnie podjął decyzje o przesunięciu dużych sił wojskowych z zachodu kraju na jego wschód.

W rozmowach Polaków po raz pierwszy od dekad padało pytanie: czy jest możliwa wojna? Przeprowadzano sondaże badające, jaki procent Polaków byłby skłonny zbrojnie walczyć o ojczyznę. Można wręcz powiedzieć o pojawieniu się

militarnego myślenia obywatelskiego, a nawet, w jakiejś mierze, o odtworzeniu strachów przedwojennych, gdy Polska czuła się – jak najbardziej słusznie – zagrożona, bo ulokowana między hitlerowskim kowadłem a sowieckim młotem lub odwrotnie. II RP stała się historycznym memento, jako kraj osamotniony, oszukany i zdradzony przez sojuszników.

Tamto doświadczenie nakazuje pytać o lojalność dzisiejszych sprzymierzeńców, o rękojmię Zachodu, wczytywać się w akta prawne NATO, wsłuchiwać w słowa najważniejszych polityków zagranicznych, przyglądać się mapom. A także analizować politykę państw regionu, które wobec Ukrainy i Rosji zachowują się inaczej niż my, czego chyba najbardziej widomym przykładem są Węgry premiera Orbána, wyraźnie wychylonego w kierunku Rosji.

Rocznica odzyskania niepodległości, obchodzona w tych nowych okolicznościach, powinna jednak skłaniać do ostrożności wobec nasuwających się porównań między II a III RP, po to by nie ulegać zbyt prostym analogiom i nie wpaść w sieć starych fantomów. A jest ich dookoła nas mnóstwo.

Fantazje stare i nowe

Te zwidy karmione są szczególną polityką historyczną od lat uprawianą przez polską pravicę. W ciągu ostatniego roku zaś weszły w fazę gorączkowego ożywienia i przewartościowania. Spektakularnym przykładem jest – wywołana rocznicową okazją – polaryzacja pravicowej publicystyki wokół przyczyny wybuchu i skutków Powstania Warszawskiego. Dominujący do tej pory i politycznie podtrzymywany bezkrytyczny kult tamtej Polski i kult powstania został, jeśli nieza kwestionowany całkowicie, to przynajmniej bardzo podmyty. Pojawiają się jakieś historie alternatywne atakujące uświęcony wcześniej przez pravicę narodowy panteon ludzi i ich czynów.

Według tych projekcji, o których dyskutuje się z całym zaangażowaniem i powagą, powinno się było na przykład szukać w 1939 r. porozumienia z Hitlerem i ruszyć z nim przeciw Stalinowi. W tym karkołomnym myśleniu należało najpierw pójść z nazistami na Moskwę i Stalingrad, pokonać Sowietów, a potem jakimś cudem zwrócić się przeciwko zwycięskim i potężnym Niemcom i szukać aliansu z Zachodem. A przy tym wszystkim jeszcze uniknąć hańby uczestniczenia, a przynajmniej milczącej zgody na Holocaust.

Widać, jak w tych absurdalnych rozważaniach walczą ze sobą rusofobia z germanofobią i jaki kłopot ma prawica w tym przypadku z ustawieniem hierarchii zła i zbrodni. Ale też takie myślenie zapewne nie pojawiłoby się, gdyby nie dzisiejsze rozedrganie międzynarodowej polityki, pewien aksjologiczny chaos i poczucie zagrożenia. Skłaniają one wielu pravicowych publicystów do sięgania po ideologiczne imaginarium II RP.

Imperializm słabości

Jedną z cech ówczesnej propagandy i dydaktyki społecznej było między innymi szerzenie idei mocarstwowej, wyobrażenia o wielkiej roli Polski w Europie, a na pewno w regionie, wśród mniejszych sąsiadów (też żądanie dla Polski kolonii). Celem była Polska „od morza do morza”, powracająca do starych, jeszcze przedrozbiorowych granic.

Ktoś nazwał to bardzo trafnie imperializmem słabości, gdyż łączył on w sobie poczucie niższości z narodową megalomanią, słabość z siłą. Niedawno tygodnik „wSieci” opublikował jako specjalną wkładkę mapę Polski sprzed pierwszego rozbioru, Polski olbrzymiej i rozległej, sięgającej daleko na wschód i południe. Trzeba spytać, z jaką to myślą redaktorzy tygodnika przekazują tę mapę dzisiejszym czytelnikom, z jaką intencją, z jakim przekazem? Może zatem powinni być wdzięczni Putinowi, że on chce, a przynajmniej rzekomo chciał, podzielić się z Polakami Ukrainą?

Dzisiaj także można bez trudu odnaleźć w wielu tekstach i również w wielu działaniach politycznych owo połączenie kompleksu niższości z poczuciem wyższości – z jednej strony to wiara w polską wyjątkowość, z drugiej wyrzuty, że Polska jest tylko przedmiotem podłych gier, wciąż zagrożona przez Wschód, zdradzana przez Zachód, poniżana i lekceważona. Widać w tym sprzeczność: Polska jest wielka i powinna grać pierwsze skrzypce, ale w tej pierwszej międzynarodowej lidze

Polskę na pewno spotka krzywda. Więc trzeba tę grę odrzucić. Pozostaje zatem, tylko wojownicza werbalnie, pasywność.

Do rocznicy odzyskania niepodległości w 1918 r. odnosimy się od 1989 r. jako do nowego początku suwerennej historii. Świątujemy fakt, że Polacy dwa razy wychodzili z okupacji i rozpoczęli uprawianie polityki na własny rachunek. Pytanie jednak, jak dziś odczytywać lekcje historii? Tradycję myślenia geopolitycznego akurat mamy na tyle bogatą i wartościową, że nie trzeba uciekać w rojenia jakichś historii alternatywnych. Niepodległość została odzyskana dzięki szukaniu szans dla Polski w różnych sojuszach i układach, w zmienianiu ich zgodnie z niepodległościowym interesem, na różnych frontach, dzięki dostosowywaniu polityki do okoliczności.

Personalnymi symbolami tej geopolityki są oczywiście Piłsudski i Dmowski, zwalczający się i konkurujący ze sobą, a przecież na moment, u progu II Rzeczypospolitej, współ-

pracujący ze sobą wedle podziału ról: Piłsudski z szablą i na koniu, Dmowski przy stoliku w Wersalu. Wojsko i dyplomacja, budowanie własnej siły i siły sojuszków – niestety, to proste przesłanie Ojców Niepodległości wciąż odbija się od ściany polskich kompleksów. Spójrzmy choćby na gorącą dzisiaj kwestię ukraińską.

Dookoła wrogowie i gamonie

Z powodu konfliktu ukraińskiego i przy tej okazji ujawniły się (zwłaszcza teraz, gdy konflikt wszedł w fazę przewlekłą z niejasną perspektywą) odmienne sposoby jego czytania, a też projekty polskiej polityki wobec niego. Najpierw dominował plan – można powiedzieć – Jerzego Giedroycia. A więc pomoc dla Ukrainy, wspomaganie jej niepodległości, bo to najlepsza gwarancja dla polskiej racji stanu, ponieważ w ten sposób pomiędzy Polską a Rosją mamy duże, silne, sprzyjające nam państwo. Ale

zaraz też zaczęły pojawiać się głosy ten plan Giedroycia kwestionujące. Były to ostrzeżenia przed nadmierną obecnością Polaków na Majdanie, pretensje wobec Ukraińców, że sami spaskudzili swoje państwo, przypomnienia i wypomnienia dramatu Wołynia, puentowane nieufnością wobec ich dobrej woli i deklarowanej przyjaźliwości. W tej optyce nieufność wobec Ukraińców jest dodawana do tradycyjnej nieufności wobec Rosji i Zachodu. Mentalnie znowu jesteśmy otoczeni przez nieprzyjaciół i skazani na samotność.

W ciągu tego roku, od poprzedniej rocznicy 11 listopada, wiele się zmieniło nie tylko na Ukrainie, w Europie, także w Polsce. Polacy chyba mocniej poczuli, że rządzią się na swój rachunek, że – jakiegokolwiek by im koniunktury pomagały i sprzyjały – nikt ich nie uwolni od odpowiedzialności za dojrzałe i dostosowane do czasów myślenie i działanie. Jednak ta sama „patriotyczna prawica”, która w swojej części namawia do Realpolitik, do pragmatyzmu, wręcz do narodowego egoizmu, stawia polskiej polityce bariery, które znacznie zmniejszą możliwości tej polityki ograniczając ją.

Dogadywać się z Rosją wolno premierowi Orbánowi (notabene idolowi polskiej prawicy), ale już w żadnym przypadku polskiemu premierowi. Szukanie ściślejszego sojuszu z Niemcami to oczywiście „polityka na kolanach” i trzymanie się spódnicy Angeli Merkel. NATO, jak wiadomo, w zasadzie nas nie obroni. No może jeszcze Amerykanie, ale tam przecież rządzi niemający pojęcia o Europie i Rosji gamoniowaty Barack Obama, bez sensu szukający przez lata resetu z Putinem. Dlatego słysząc, że to pol- ►